

Fryderyk Engels

**Zarys krytyki
ekonomii politycznej**

**Studenckie Koło Filozofii Marksistowskiej (Uniwersytet Warszawski)
WARSZAWA 2006**

Artykuł Fryderyka Engelsa „Zarys krytyki ekonomii politycznej” („Umriss zu einer Kritik der Nationalökonomie”) został napisany na przełomie lat 1843/1844 i opublikowany w pierwszym, i ostatnim zarazem, numerze „Deutsch-Französische Jahrbücher” z 1844 roku.

W języku polskim opublikowane po raz pierwszy pt. „Krytyka ekonomii politycznej”, Łódź 1905, w tłumaczeniu K. Wyszackiego.

Podstawa niniejszego wydania: Karol Marks, Fryderyk Engels, „Dzieła”, t. I, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1960.

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Edda Werfel.

Ekonomia polityczna powstała jako naturalne następstwo rozszerzenia się handlu, a wraz z tym miejsce prostej, nienaukowej szacherki zajął udoskonalony system legalnego oszustwa, cała nauka o bogaceniu się.

Ta zrodzona z wzajemnej zawiści i chciwości kupców ekonomia polityczna, czyli nauka o bogaceniu się, nosi na sobie piętno najbrzydliwszego egoizmu. Panowało jeszcze naiwne przekonanie, że bogactwo polega na posiadaniu złota i srebra, a zatem za najpilniejsze uznano wszędzie zakazanie wywozu „szlachetnych” kruszców. Narody stały naprzeciw siebie jak skąpcy, z których każdy obejmował obiema rękami swój drogi worek pieniędzy, zawistnie i podejrzliwie spoglądając na swoich sąsiadów. Używano wszelkich środków, by od narodów, z którymi utrzymywano stosunki handlowe, wyludzić jak najwięcej gotówki i to, co się szczęśliwie udało przywieźć do kraju, zachować skrzętnie w obrębie własnych rogatek celnych.

Całkowicie konsekwentne przeprowadzenie tej zasady uśmierciłoby handel. Zaczęto więc wychodzić poza to pierwsze stadium; zrozumiano, że kapitał, leżący w skrzyni, jest martwy, natomiast kapitał puszczony w obieg ciągle się powiększa. Zaczęto więc odnosić się do siebie bardziej przyjaźnie, wysyłano swoje dukaty na wabika, aby wracały przynosząc ze sobą jeszcze inne dukaty, rozumiano, że nie szkodzi, jeżeli zapłaci się panu A za dużo za jego towar, dopóki można go jeszcze sprzedać panu B za wyższą cenę.

Na takiej podstawie powstał *system merkantylistyczny*. Łapczywość handlu była już trochę zamaskowana; narody zbliżyły się nieco do siebie, zawierały traktaty handlowe i układy przyjaźni, robiły ze sobą interesy i gwoli większego zysku wyświadczały sobie nawzajem wszelkie możliwe przysługi i grzeczności. Ale w gruncie rzeczy była to przecież ta sama żądza pieniędzy i ten sam egoizm, i od czasu do czasu wybuchały one w wojnach, które toczyły się w owym okresie wyłącznie na tle rywalizacji handlowej. W wojnach tych okazało się też, że handel podobnie jak rabunek opiera się na prawie pięści; nikt nie miał najmniejszych skrupułów, gdy chodziło o to, by podstępem lub przemocą wymusić takie umowy, jakie uważano za najbardziej korzystne.

Głównym punktem całego systemu merkantylistycznego jest teoria o bilansie handlowym. Ponieważ ciągle jeszcze obstawano przy tezie, że bogactwo polega na posiadaniu złota i srebra, więc za korzystne uważano tylko takie interesy, które w ostatecznym rachunku przynosiły krajowi gotówkę. Aby to obliczyć, porównywano eksport z importem. Jeśli eksport przewyższał import, to wnioskowano stąd, że różnica wpłynęła do kraju w gotówce i że kraj jest bogatszy o tę różnicę. Sztuka ekonomistów polegała więc na troszczeniu się, by z końcem każdego roku bilans wynikający z porównania eksportu z importem był dodatni; i gwoli tego śmiesznego złudzenia mordowano tysiące ludzi! Handel też miał swoje wyprawy krzyżowe i swoją inkwizycję.

Wiek osiemnasty, wiek rewolucji, zrewolucjonizował również ekonomię polityczną; ale podobnie jak wszystkie rewolucje tego stulecia były jednostronne i utknęły w przeciwieństwach – jak abstrakcyjnemu spirytualizmowi przeciwstawiano abstrakcyjny materializm, monarchii republikę, prawu boskiemu umowę społeczną – tak i rewolucja w ekonomii politycznej nie wyszła poza przeciwieństwo. Założenia pozostały wszędzie te same; materializm nie zaatakował chrześcijańskiej pogardy i ponizenia człowieka, a tylko zamiast chrześcijańskiego boga przeciwstawił człowiekowi przyrodę jako absolut; polityka nie próbowała poddać analizie założeń państwa jako takich; ekonomii nawet na myśl nie przyszło, by kwestionować *śluszość własności prywatnej*. Dlatego też nowa ekonomia była tylko połowicznym postępowaniem; musiała wyrzec się i zaprzeczyć swych własnych założeń, musiała uciec się do sofistyki i obłudności, aby ukryć sprzeczności, w jakie się uwikłała; aby dojść do wniosków, do których doprowadzały ją nie jej własne założenia, lecz humanistyczny duch epoki. Tak więc ekonomia polityczna przybrała charakter filantropijny; przestała okazywać producentom swą życzliwość, a zaczęła ją okazywać konsumentom; udawała święte oburzenie z powodu krwawych okropności systemu merkantylistycznego i głosiła, że handel stanowi więź przyjaźni i jedności tak między narodami jak między poszczególnymi ludźmi. Wszystko to było piękne i dobre – ale założenia ekonomii dały wkrótce znowu znać o sobie i zrodziły w przeciwieństwie do tej obłudnej filantropii teorię ludnościową Malthusa, najokrutniejszy, najbardziej barbarzyński system, jaki

kiedykolwiek istniał, system rozpaczy, który obalał wszystkie owe piękne frazesy o miłości do ludzi i obywatelstwie świata. Założenia te zrodziły i wydzwignęły system fabryczny i nowoczesne niewolnictwo, które nie ustępuje dawnemu pod względem nieludzkiego swego charakteru i okrucieństwa. Okazało się, że nowa ekonomia, system wolnego handlu oparty na „*Bogactwie narodów*”¹ Adama Smitha, odznacza się taką samą obłudą, niekonsekwencją i niemoralnością, jaka we wszystkich dziedzinach przeciwstawia się teraz wolnemu duchowi humanizmu.

Czy jednak system Smitha nie był żadnym postępem? – Oczywiście, że nim był, i to postępem koniecznym. Konieczne było obalenie merkantylizmu z jego monopolami i ograniczeniami obrotu handlowego, aby na jaw wyjść mogły rzeczywiste skutki własności prywatnej; konieczne było ustąpienie na dalszy plan wszystkich drobiazgowych względów lokalnych i narodowych, aby walka naszej epoki mogła się stać walką powszechną, ogólnoludzką; konieczne było, by teoria własności prywatnej zeszła z drogi badań czysto empirycznych, wyłącznie obiektywnych, i przybrała charakter bardziej naukowy, przez co stałaby się odpowiedzialną również za konsekwencje, a sprawa przesunęłaby się na teren ogólnoludzki; konieczne było, aby tkwiąca w starej ekonomii niemoralność doszła do szczytu, przez próbę zaprzeczenia tej niemoralności i uciekanie się do obłudy – nieuchronnej konsekwencji takiej próby. Wszystko to leżało w naturze rzeczy. Chętnie przyznajemy, że dopiero uzasadnienie i urzeczywistnienie wolnego handlu pozwoliło nam wyjść poza ekonomię własności prywatnej, ale jednocześnie zastrzegamy sobie prawo pokazania tego wolnego handlu w całej jego teoretycznej i praktycznej nicości.

Sąd nasz będzie musiał być tym surowszy, im bliżsi są naszym czasom ekonomiści, o których mamy wypowiedzieć swoje zdanie. Kiedy bowiem Smith i Malthus zastali gotowe tylko poszczególne fragmenty, to późniejsi ekonomiści mieli przed sobą już cały zakończony system; wszystkie wnioski były już wyciągnięte, sprzeczności wyszły na jaw dostatecznie wyraźnie, a mimo to nie próbowali oni nawet zanalizować przesłanek tego systemu, a mimo to wciąż jeszcze brali na siebie odpowiedzialność za cały system. Im bliżsi naszym czasom są ekonomiści, tym bardziej oddalają się od uczciwości. Z każdym postępem, który przynosi czas, wzrasta siła rzeczy sofistycznej, potrzebna po to, aby utrzymać ekonomię na poziomie epoki. Dlatego wina np. *Ricarda* jest większa niż wina *Adama Smitha*, a wina *MacCullocha* i *Milla* większa niż wina *Ricarda*.

Nowa ekonomia polityczna nie potrafi słusznie ocenić nawet systemu merkantylistycznego, gdyż jest sama jednostronna i obarczona jeszcze założeniami tego systemu. Dopiero taki punkt widzenia, który wzniesie się ponad przeciwieństwo obu systemów i podda krytyce ich wspólne założenia, wychodząc z czysto ludzkiej, powszechnej podstawy, potrafi słusznie wyznaczyć miejsca obu systemów. Okaze się wówczas, że obrońcy wolnego handlu są nawet gorszymi monopolistami niż dawni merkantylści. Okaze się, że za obłudnym humanitaryzmem nowszych ekonomistów kryje się barbarzyństwo, o którym starzy nie mieli pojęcia; że pomieszanie pojęć u starych jest jeszcze proste i konsekwentne w porównaniu z dwulicową logiką ich przeciwników i że żadna z obu stron nie mogłaby zarzucić drugiej nic takiego, co by nie dotyczyło również jej samej. – Dlatego też nowa, liberalna ekonomia polityczna nie może zrozumieć przywrócenia systemu merkantylistycznego przez Listę, gdy dla nas sprawa jest zupełnie prosta. Niekonsekwentna i dwoista liberalna ekonomia polityczna musi nieuchronnie rozpaść się znowu na swoje podstawowe części składowe. Podobnie jak teologia ma do wyboru albo cofnąć się wstecz do ślepej wiary, albo pójść naprzód do wolnej filozofii, tak samo wolny handel musi prowadzić z jednej strony do przywrócenia monopoli, z drugiej – do zniesienia własności prywatnej.

Jedyny *pozytywny* postęp osiągnięty przez liberalną ekonomię – to analiza praw własności prywatnej. Prawa te rzeczywiście są w niej zawarte, choć nie zostały jeszcze rozwinięte do ostatecznych konsekwencji i jasno sformułowane. Wynika z tego, że we wszystkich sporach, w których chodzi o rozstrzygnięcie, jaki jest najszybszy sposób bogacenia się, a więc we wszystkich sporach ściśle ekonomicznych, rację mają obrońcy wolnego handlu. Podkreślamy – w sporach ze zwolennikami monopoli, nie zaś z przeciwnikami własności prywatnej; tego bowiem, że przeciwnicy własności prywatnej

¹ *Adam Smith*, „An Inquiry into the Nature and Causes of the Wealth of Nations”, London 1776 (Adam Smith, „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”, PWN 1954). – Red.

potrafią sprawy ekonomiczne rozstrzygać słuszniej również i z ekonomicznego punktu widzenia, dowiedli już dawno, zarówno w praktyce jak i w teorii, socjaliści angielscy.

Poddając krytyce ekonomię polityczną, przestudiujemy zatem podstawowe kategorie, odsłonimy sprzeczność wniesioną przez system wolnego handlu i wyciągniemy wnioski wynikające z obu stron tej sprzeczności.

* * *

Określenie „bogactwo narodowe” pojawiło się dopiero dzięki tendencjom liberalnych ekonomistów do uogólnienia. Dopóty, dopóki istnieje własność prywatna, określenie to nie ma sensu. „Bogactwo narodowe” Anglików jest bardzo duże, a mimo to są oni najuboższym narodem pod słońcem. Trzeba by albo zupełnie odrzucić to określenie, albo przyjąć takie założenia, które nadają mu jakiś sens. To samo dotyczy określeń: ekonomia narodowa, polityczna, społeczna. W obecnych warunkach nauka ta powinna by nazywać się ekonomią *prywatną*, gdyż stosunki społeczne istnieją dla niej tylko gwoli własności prywatnej.

* * *

Bezpośrednim następstwem własności prywatnej jest *handel*, wzajemna wymiana potrzeb, kupno i sprzedaż. W warunkach panowania własności prywatnej handel, tak jak każda inna działalność, musi stać się bezpośrednim źródłem dochodu dla tego, kto go uprawia; tzn. każdy musi starać się sprzedawać możliwie drogo i kupować możliwie tanio. Przy każdym kupnie lub sprzedaży stoi więc wobec siebie dwóch partnerów o absolutnie przeciwstawnych interesach; konflikt jest zdecydowanie wrogi, jeden bowiem zna intencje drugiego i wie, że są wprost przeciwstawne jego własnym intencjom. Pierwszym następstwem jest więc, z jednej strony, wzajemna nieufność, a z drugiej strony – uzasadniające tę nieufność stosowanie niemoralnych środków do osiągnięcia niemoralnego celu. Tak np. pierwszą zasadą w handlu jest przemilczanie, zatajanie wszystkiego, co mogłoby obniżyć wartość danego towaru. Następstwem tego jest, że w handlu dopuszczalne jest ciągnięcie możliwie dużych korzyści przez nadużywanie nieświadomości czy też zaufania strony przeciwnej; a tak samo dopuszczalne jest zachwalanie własnego towaru i przypisywanie mu zalet, których on nie posiada. *Jednym* słowem – handel to legalne oszustwo. To, że praktyka jest zgodna z tą teorią, może mi poświadczyć każdy kupiec, jeśli tylko zechce oddać należną cześć prawdzie.

System merkantylistyczny odznaczał się jeszcze pewną naiwną, katolicką prostotą i nie ukrywał bynajmniej niemoralnej istoty handlu. Widzieliśmy, jak otwarcie objawiał on swą podłą chciwość. Wzajemna wrogość narodów wobec siebie w wieku osiemnastym, obrzydliwa zawiść i rywalizacja handlowa były logicznym następstwem handlu jako takiego. Do opinii społecznej nie dotarły jeszcze humanistyczne idee, po co więc miano ukrywać rzeczy wynikające z nieludzkiej, nienawistnej istoty samego handlu?

Kiedy jednak *Luter ekonomii politycznej*, Adam Smith, krytykował ekonomię polityczną swoich poprzedników, sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Było to stulecie humanizmu, rozum torował sobie drogę, moralność zaczęła domagać się swych wiecznych praw. Wymuszone traktaty handlowe, wojny handlowe, ostra izolacja narodów zbyt się kłóciły z postępem świadomości. Miejsce więc katolickiej prostoty zajęła protestancka obłudność. Smith dowodził, że handel jest w istocie swej również humanistyczny, że zamiast być „najobfitszym źródłem niezgody i wrogości” musi on stać się „więzią jedności i przyjaźni zarówno między narodami jak i między poszczególnymi ludźmi” (por. „*Bogactwo narodów*”, t. 4, rozdz. 3, par. 2); wynika przecież z natury rzeczy, że ogólnie biorąc handel jest korzystny dla *wszystkich* zainteresowanych.

Smith miał rację, wychwalając handel jako humanistyczny. Na świecie nie ma nic absolutnie niemoralnego; również i handel pod pewnym względem hołduje moralności i człowieczeństwu. Ale cóż to za hołd! Prawo pięści, średniowieczny rabunek na gładkiej drodze stał się bardziej ludzki, gdy przekształcił się w handel, handel zaś stał się bardziej ludzki, gdy pierwsze jego stadium, którego cechą charakterystyczną był zakaz wywozu pieniędzy, przeszedł w system merkantylistyczny. Teraz nawet sam

system merkantylistyczny stał się bardziej ludzki. Rzecz naturalna, że leży to w interesie handlującego, by pozostawać w dobrych stosunkach zarówno z tym, od którego tanio kupuje, jak i z tym, któremu drogo sprzedaje. Naród więc, który wywoływałby nieprzyjemne nastroje u swoich dostawców i klientów, postępowałby bardzo nierozsądnie. Im bardziej przyjazne są stosunki, tym są korzystniejsze. Na tym polega humanistyczny charakter handlu, a ten obłudny sposób nadużywania moralności dla celów niemoralnych – oto chluba systemu wolnego handlu. Czyż nie obaliliśmy barbarzyństwa monopoli, wołając ci obłudnicy, czyż nie zanieśliśmy cywilizacji do odległych części świata, czyż nie zbrataliśmy narodów, czyż nie ukrócilśmy wojen? Tak jest, dokonaliście tego wszystkiego, ale w *jaki* sposób! Zniszczyliście drobne monopole, aby tym swobodniej, tym bardziej nieskrępowanie mógł działać ten *jeden* wielki monopol podstawowy – własność; zanieśliście cywilizację do najbardziej odległych krańców ziemi, aby zdobyć nowe tereny, na których by się pieniała wasza podła chciwość; zbrataliście narody, ale jest to braterstwo złodziei, ograniczyliście wojny, by tym lepiej zarabiać w czasie pokoju, aby do ostatecznych granic zaostrić wrogość między poszczególnymi ludźmi, haniebną walkę konkurencyjną! Czy uczyniliście cokolwiek z pobudek czysto humanitarnych, z przekonania, że nie powinno być przeciwieństwa między interesem ogólnym a indywidualnym? Czy kiedykolwiek byliście moralni nie mając w tym interesu, nie kryjąc w zanadru niemoralnych, egoistycznych motywów?

Kiedy liberalna ekonomia zrobiła już, co mogła, aby przez rozbitcie narodów upowszechnić wrogość, aby zamienić ludzkość w gromadę drapieżników – czymże innym są ci, którzy konkurują między sobą w handlu? – które pożerają się nawzajem *właśnie dlatego*, że wszystkie mają ten sam interes, kiedy ta robota przygotowawcza została już dokonana, pozostał jej jeszcze tylko jeden krok do celu: rozbitcie rodziny. W osiągnięciu tego celu przyszedł jej na pomoc jej własny piękny wynalazek – system fabryczny. Ostatnie resztki wspólnych interesów, rodzinna wspólność mienia, zostały podkopane przez system fabryczny i są one – przynajmniej tu w Anglii – już w trakcie rozkładu. Stało się zjawiskiem pospolitym, że zaledwie dzieci stają się zdolne do pracy, tj. gdy kończą dziewięć lat, wydają swój zarobek na siebie, traktują dom rodzicielski po prostu jako płatną jadalnię i płacą rodzicom pewną sumę za wikt i mieszkanie. Jakże może być inaczej? Co innego może wynikać z tej izolacji interesów, na której opiera się system wolnego handlu? Gdy jakaś zasada została raz w ruch wprawiona, to wszystkie jej konsekwencje przejawiają się same przez się, niezależnie od tego, czy się to ekonomistom podoba czy nie.

Ale ekonomista sam nie wie, jakiej służy sprawie. Nie wie, że on sam ze swoim egoistycznym rozumowaniem jest tylko ogniwnem w łańcuchu powszechnego postępu ludzkości. Nie wie, że swymi wywodami o walce wszystkich odrębnych interesów toruje tylko drogę wielkiemu przewrotowi, ku któremu idzie nasz wiek – pojednaniu ludzkości z przyrodą i z samą sobą.

* * *

Pierwszą kategorią uwarunkowaną przez handel jest *wartość*. Na temat tej oraz wszystkich innych kategorii nie ma sporu między dawnymi a nowymi ekonomistami, gdyż zwolennicy monopolu, ogarnięci szalem bogacenia się, nie mieli czasu na zajmowanie się kategoriami. Wszystkie spory o tego rodzaju kwestie zainicjowali nowi ekonomiści.

Ekonomista, którego żywiołem są przeciwieństwa, operuje też oczywiście *dwojaką* wartością: wartością abstrakcyjną, czyli realną, i wartością wymienną. O istotę wartości realnej toczył się długi spór między Anglikami, którzy za wyraz wartości realnej uważali koszty produkcji, a Francuzem Sayem, który twierdził, że wartość tę należy mierzyć użytecznością przedmiotu. Spór toczył się od początku tego wieku i uciął nie rozstrzygnięty. Ekonomiści nie są w stanie niczego rozstrzygnąć.

A więc Anglicy – zwłaszcza MacCulloch i Ricardo – twierdzą, że wartość abstrakcyjną jakiegoś przedmiotu określają koszty produkcji. Podkreślam, wartość abstrakcyjną, nie zaś wymienną, *exchangeable value*, wartość handlową – ta jest ponoć czymś zupełnie innym. Dlaczegoż to koszty produkcji miałyby stanowić miarę wartości? Dlatego – słuchajcie! – dlatego, że nikt w normalnych warunkach, i jeśli pominiemy konkurencję, nie sprzedałby jakiegokolwiek rzeczy taniej, niż go kosztuje wyprodukowanie jej. Nie

sprzedaliby? A cóż tu, gdzie nie chodzi o wartość *handlową*, ma do rzeczy „sprzedaż”? A więc znowu w grę tu wchodzi handel, który mieliśmy przecież pozostawić na uboczu – i to jaki handel! Handel, w którym sprawę najważniejszą, konkurencję, należy pominąć! Z początku mieliśmy wartość abstrakcyjną, a teraz mamy jeszcze i abstrakcyjny handel, handel bez konkurencji, tzn. człowieka bez ciała, myśl bez mózgu, który wytwarzałby myśli. Ale czyż ekonomista nie wziął w ogóle pod uwagę, że jeśli konkurencja nie wchodzi w grę, to nie ma wcale gwarancji, iż producent będzie sprzedawał swój towar akurat po cenach produkcji? Co za gmatwanina!

Idźmy dalej! Załóżmy na chwilę, że wszystko jest naprawdę tak, jak twierdzi ekonomista. Przypuśćmy, że ktoś z olbrzymim trudem i ogromnymi kosztami wyprodukuje jakąś rzecz zupełnie bezużyteczną, coś, czego nikt nie potrzebuje – czy i ta rzecz będzie tyle warta, ile wynoszą koszty produkcji? Nic podobnego, powie ekonomista, kto by ją chciał kupić? Jednocześnie więc mamy tu nie tylko okrzykniętą użyteczność *Saya*, lecz na dodatek jeszcze – wraz z „kupnem” – konkurencję. Jest to niemożliwe, ekonomista nie może ani na chwilę utrzymać swojej abstrakcji. Każdej chwili napotyka on nie tylko to, co tak usilnie stara się usunąć, konkurencję, lecz również to, co atakuje – użyteczność. Wartość abstrakcyjna i określenie jej przez koszty produkcji są to właśnie tylko abstrakcje, absurdy.

Ale przypuśćmy jeszcze raz na chwilę, że ekonomista ma rację – w jaki sposób zamierza on określić koszty produkcji, nie biorąc pod uwagę konkurencji? Przy badaniu kosztów produkcji zobaczymy, że również i ta kategoria oparta jest na konkurencji. I tu okazuje się znowu, że ekonomista nie jest w stanie udowodnić swych twierdzeń.

Gdy przechodzimy do *Saya*, znajdujemy taką samą abstrakcję. Użyteczność jakiegoś przedmiotu jest czymś czysto subiektywnym, czymś, czego nie można określić w sposób absolutny – nie można na pewno określić przynajmniej dopóty, dopóki obracamy się jeszcze w przeciwieństwach. Zgodnie z tą teorią artykuły pierwszej potrzeby musiałyby mieć większą wartość niż artykuły luksusowe. Jedyne sposoby, w jaki można dojść do poniekąd *obiektywnego*, pozornie powszechnego rozstrzygnięcia o większej lub mniejszej użyteczności danego przedmiotu, stanowi w warunkach własności prywatnej konkurencja; a ją właśnie ekonomiści chcą pominąć. Jeśli się jednak bierze pod uwagę konkurencję, pojawia się również czynnik kosztów produkcji; nikt bowiem nie będzie sprzedawał taniej, niż jego samego kosztowała produkcja. A więc czy się tego chce, czy nie chce, również i tu jedna strona przeciwieństwa przechodzi w drugą.

Spróbujmy rozeznaczyć się w tej gmatwaninie. Wartość jakiejś rzeczy obejmuje oba czynniki, gwałtem i, jak widzieliśmy, bez powodzenia oddzielane od siebie przez strony wiodące spór. Wartość jest to stosunek kosztów produkcji do użyteczności. Bezpośrednim zastosowaniem wartości jest rozstrzygnięcie, czy należy w ogóle produkować dany przedmiot, tzn. czy jego użyteczność odpowiada kosztom produkcji. Dopiero potem może być mowa o roli wartości w procesie wymiany. Jeśli koszty produkcji dwóch rzeczy są jednakowe, to momentem decydującym przy określaniu ich wartości porównawczej będzie użyteczność.

Ta podstawa jest jedyną sprawiedliwą podstawą wymiany. Jeśli jednak stanowi ona punkt wyjścia, kto ma decydować o użyteczności danej rzeczy? Czy sama opinia zainteresowanych? W ten sposób w każdym razie oszukana będzie *jedna* strona. Czy też ma to być określenie oparte na użyteczności wewnętrznie właściwej tej rzeczy, niezależne od zainteresowanych stron i niezrozumiałe dla nich? Wtedy wymiana mogłaby być dokonana tylko *pod przymusem*, i każda ze stron uważałaby się za oszukaną. Sprzeczności tej między rzeczywistością, inherentną użytecznością jakiejś rzeczy a określeniem tej użyteczności, między określeniem użyteczności a wolnością stron dokonywających wymiany nie można znieść nie znosząc jednocześnie własności prywatnej; a gdy zniesiona zostanie własność prywatna, nie może już być mowy o wymianie, jaka istnieje teraz. Zastosowanie pojęcia wartości w praktyce będzie się wówczas coraz bardziej ograniczało do decyzji o podjęciu produkcji, i to jest jego właściwa dziedzina.

Jak jednak wyglądają sprawy obecnie? Stwierdziliśmy, że pojęcie wartości zostało sztucznie rozerwane i że ogłoszono, iż każda z poszczególnych jego stron stanowi całość. Koszty produkcji, z góry już zniekształcone wskutek konkurencji, mają uchodzić za wartość jako taką; to samo dotyczy czysto subiektywnej użyteczności – bo inna nie może obecnie istnieć. Aby podeprzeć te kulawe definicje, trzeba w obu wypadkach uciec się do konkurencji; a najlepsze jest to, że w definicji Anglików opartej na kosztach

produkcji konkurencja zastępuje użyteczność, gdy tymczasem u Saya, na odwrót, do definicji opartej na użyteczności konkurencja wnosi z sobą koszty produkcji. Ale jaka to jest użyteczność, jakie to są koszty produkcji, które wnosi z sobą konkurencja! Jej użyteczność zależy od przypadku, od mody, od kaprysu bogaczy, jej koszty produkcji rosną i spadają zależnie od przypadkowego stosunku popytu do podaży.

Rozróżnienie między wartością realną a wartością wymienną opiera się na pewnym fakcie – mianowicie tym, że wartość jakiegoś przedmiotu różni się od tak zwanego ekwiwalentu, który daje się za nią w handlu, tzn. że ekwiwalent ten nie jest ekwiwalentem. Ten tak zwany ekwiwalent – to *cena* przedmiotu, i gdyby ekonomista był uczciwy, to używałby tego terminu zamiast mówić o „wartości handlowej”. Ale musi on przecież zachować choćby cień pozorów, że cena związana jest w jakiś sposób z wartością, aby niemoralność handlu nie wyszła zbyt wyraźnie na jaw. A to, że *cenę* określa wzajemne oddziaływanie kosztów produkcji i konkurencji – jest zupełnie słuszne i jest jednym z głównych praw własności prywatnej. To czysto empiryczne prawo było pierwsze, które odkrył ekonomista, i z tego prawa wyabstrahował on potem swą wartość realną, czyli cenę, jaka ustala się wtedy, kiedy stosunek konkurencji jest zrównoważony, tj. kiedy popyt równa się podaży. Wówczas pozostają oczywiście tylko koszty produkcji, i te ekonomista nazywa wartością realną, gdy tymczasem jest to tylko pewna określoność ceny. Ale w ekonomii politycznej wszystko zostało odwrócone do góry nogami; wartość, która jest czymś pierwotnym, która jest źródłem ceny, uzależnia się właśnie od tego jej własnego wytworu. Jak wiadomo, to odwracanie rzeczy stanowi istotę abstrakcji; o tym porównaj Feuerbacha.

* * *

Zdaniem ekonomistów na koszty produkcji towaru składają się trzy elementy: renta gruntowa za parcelę potrzebną do wyprodukowania surowca, kapitał łącznie z zyskiem oraz wynagrodzenie za pracę potrzebną do produkcji i obróbki. Od razu okazuje się jednak, że kapitał i praca są identyczne, gdyż sami ekonomiści przyznają, że kapitał jest „nagromadzoną pracą”. Pozostają nam zatem tylko dwie strony: naturalna, obiektywna – ziemia, i ludzka, subiektywna – praca, która obejmuje również kapitał, a oprócz kapitału jeszcze element trzeci, którym ekonomista nie zajmuje się; chodzi mi o element duchowy, o wynalazek, myśl, poza fizycznym elementem samej pracy. Cóż ekonomistę obchodzi wynalazczość? Czy wszystkie wynalazki nie spadły mu z nieba, choć nie przyłożył do nich ręki? Czy choć *jeden* z nich kosztował go cokolwiek? Po cóż więc miałby się troszczyć o nie przy obliczaniu tego, co nazywa kosztami produkcji? Dla niego warunkami bogactwa są ziemia, kapitał, praca, i więcej mu niczego nie potrzeba. Na nauce nic mu nie zależy. Co go to obchodzi, że nauka w osobach Bertholleta, Davy'ego, Liebiga, Watta, Cartwrighta i in. złożyła mu w darze wynalazki, które jego samego i produkcję podniosły na niezmiernie wysoki poziom? Takich rzeczy nie potrafi on obliczyć; postępy nauki wykraczają poza jego liczby. Ale w rozsądnym ustroju, stojącym ponad takim podziałem interesów, jaki uznaje ekonomista, element duchowy będzie oczywiście należał do czynników produkcji i zajmie miejsce wśród kosztów produkcji również w ekonomii politycznej. I jest rzeczą bardzo pocieszającą wiedzieć, że starania o rozwój nauki opłacą się także materialnie, wiedzieć, że jeden jedyny owoc nauki, taki np. jak maszyna parowa Jamesa Watta, w pierwszych pięćdziesięciu latach swego istnienia przyniósł światu więcej, niż świat od zarania wydatkował na rozwój nauki.

Działają więc dwa elementy produkcji, przyroda i człowiek, przy czym człowiek z kolei – działa fizycznie i duchowo; teraz zaś możemy wrócić do ekonomisty i jego kosztów produkcji.

* * *

Wszystko, czego nie można zmonopolizować, nie ma wartości, powiada ekonomista; twierdzeniem tym zajmujemy się później bardziej szczegółowo. Gdybyśmy powiedzieli: nie ma *ceny* – twierdzenie to byłoby słuszne w ustroju opartym na własności prywatnej. Gdyby tak łatwo można było dostać ziemię jak powietrze, nikt by nie płacił renty gruntowej. Ponieważ jednak tak nie jest, ponieważ obszar ziemi nie

można dowolnie powiększać, to gdy potrzebny jest komuś grunt, płaci on rentę gruntową za już przywłaszczony, tzn. zmonopolizowany grunt, albo płaci zań cenę kupna. Ale po takim wyjaśnieniu powstania wartości ziemi brzmi to bardzo dziwnie, gdy ekonomista mówi, że renta gruntowa stanowi różnicę między wydajnością gleby, przynoszącej rentę, a wydajnością gleby najgorszej, opłacającej zaledwie trud jej uprawiania. Taka jest, jak wiadomo, definicja renty gruntowej, rozwinięta w pełni po raz pierwszy przez Ricarda. Definicja ta jest wprawdzie praktycznie słuszna, jeśli się zakłada, że spadek popytu *natychmiast* oddziałuje na rentę gruntową i od razu wyłącza spod uprawy odpowiednią ilość najgorszej ziemi uprawnej. Ale tak przecież nie jest i dlatego definicja owa jest niewystarczająca; poza tym nie mieszczą się w niej przyczyny powstania renty gruntowej i choćby dlatego musi ona odpaść. Pułkownik T. P. Thompson, działacz Ligi do walki z ustawami zbożowymi², przeciwstawił tej definicji dawniejszą definicję Adama Smitha i uzasadnił ją. Według jego zdania renta gruntowa jest stosunkiem między konkurencją tych, którzy ubiegają się o użytkowanie ziemi, a ograniczoną ilością ziemi będącej do dyspozycji. Ta definicja wraca przynajmniej do problemu pochodzenia renty gruntowej; ale to wyjaśnienie pomija różnice w urodzajności gleby, tak jak poprzednie nie brało pod uwagę konkurencji.

Mamy więc znowu dwie jednostronne, i dlatego połowiczne definicje jednego i tego samego przedmiotu. Podobnie jak przy pojęciu wartości będziemy znowu musieli połączyć oba określenia, by znaleźć określenie słuszne, wynikające z analizy samego przedmiotu i dlatego obejmujące wszelkiego rodzaju wypadki, które występują w praktyce. Renta gruntowa jest to stosunek między wydajnością ziemi, czyli stroną naturalną (na którą z kolei składają się właściwości *naturalne* gleby i uprawa przez *człowieka*, czyli praca zastosowana do ulepszenia gleby), a stroną ludzką, tj. konkurencją. Niech sobie ekonomiści kręcą głową dziwiąc się tej „definicji”; przekonają się oni ku swemu przerażeniu, że obejmuje ona wszystko, co ma jakiś związek z tą sprawą.

Właściciel ziemski nie ma prawa wysuwać zarzutów przeciwko kupcowi.

Sam on rabuje, gdy monopolizuje ziemię. Rabuje, gdy wyzyskuje dla siebie przyrost ludności, dzięki któremu wzrasta konkurencja, a więc rośnie wartość jego posiadłości ziemskiej, rabuje, gdyż przemienia w źródło swojej osobistej korzyści coś, co powstało bez jego osobistego udziału, co otrzymuje przez czysty przypadek. Rabuje, kiedy *oddaje w dzierżawę*, bo tu znowu przywłaszcza sobie w końcu ulepszenia wprowadzone przez dzierżawcę. Na tym polega tajemnica rosnącego wciąż bogactwa wielkich właścicieli ziemskich.

To nie my wymyśliliśmy aksjomaty kwalifikujące sposób zarobkowania właściciela ziemskiego jako rabunek, stwierdzające mianowicie, że każdy ma prawo do produktu swojej pracy lub że nikt nie powinien zbierać tam, gdzie nie siał. Aksjomat pierwszy jest w sprzeczności z obowiązkiem żywienia dzieci, aksjomat drugi odmawia prawa do istnienia każdemu kolejnemu pokoleniu, gdyż każde pokolenie dziedziczy to, co pozostawiły poprzednie. Aksjomaty te są, na odwrót, konsekwencjami własności prywatnej. Albo należy urzeczywistnić wszystkie wynikające z niej konsekwencje, albo też zrezygnować z niej jako przesłanki.

Co więcej, nawet pierwotne przywłaszczenie starano się uzasadnić przez powołanie się na jeszcze wcześniejsze prawo *wspólnego* posiadania. W którąkolwiek więc stronę się zwrócimy, własność prywatna zawsze prowadzi do sprzeczności.

Kupczenie ziemią, która jest dla nas wszystkim, która jest pierwszym warunkiem naszej egzystencji, było ostatnim krokiem prowadzącym do kupczenia samym sobą; było to i jest po dziś dzień czymś tak

² *National Anti-Corn-Law League* – Liga przeciw ustawom zbożowym, założona w 1838 r. przez manchesterskich fabrykantów Cobdena i Brighta. Tak zwane ustawy zbożowe, które miały na celu ograniczenie czy też zakaz importu zboża z zagranicy, wprowadzone zostały w Anglii w interesie wielkich obszarników, tzw. landlordów. Liga wysuwała żądanie całkowitej wolności handlu i dążyła do zniesienia ustaw zbożowych; chciała ona w ten sposób doprowadzić do obniżenia płacy robotczej oraz osłabienia ekonomicznych i politycznych pozycji arystokracji ziemskiej. W walce z obszarnikami Liga starała się przeciągnąć na swą stronę masy robotnicze. Ale właśnie w tym czasie awangarda robotnicza Anglii weszła na drogę samodzielnego, upolitycznionego ruchu robotniczego (czartyzm). Walka między burżuazją przemysłową a arystokracją ziemską o ustawy zbożowe zakończyła się przyjęciem w 1846 r. billu o zniesieniu ustaw. Wtedy Liga została rozwiązana. – *Red.*

niemoralnym, że gorsza jest tylko niemoralność kupczenia samym sobą. A pierwotne przywłaszczenie, monopolizacja ziemi przez niewielką garstkę ludzi, wyłączenie wszystkich pozostałych od podstawowego warunku ich egzystencji, nie ustępuje pod względem niemoralności późniejszemu kupczeniu ziemią.

Jeśli i tu uważać będziemy własność prywatną za zniesioną, renta gruntowa zredukuje się do swojej istoty, do tego rozumnego poglądu, który rzeczywiście leży u jej podstaw. Wartość ziemi, oddzielona od niej w postaci renty gruntowej, wróci wówczas do samej ziemi. Wartość tę, którą można mierzyć zdolnością produkcyjną jednakowych obszarów ziemi przy równej ilości włożonej w nie pracy, należy oczywiście uwzględnić przy określeniu wartości produktów jako część kosztów produkcji, i tak jak renta gruntowa jest ona stosunkiem zdolności produkcyjnej do konkurencji, ale do *prawdziwej* konkurencji, takiej, jaka rozwinie się w swoim czasie.

* * *

Widzieliśmy, że kapitał i praca były pierwotnie identyczne; widzimy poza tym z rozważań samych ekonomistów, że kapitał, rezultat pracy, staje się natychmiast w procesie produkcji znowu substratem, materiałem pracy; że zatem istniejące przez chwilę oddzielenie kapitału od pracy zostaje natychmiast znowu zniesione i przywrócona zostaje jedność obu tych czynników; a mimo to ekonomista oddziela kapitał od pracy, mimo to upiera się on przy tym rozdwojeniu, uznając ich jedność obok tego tylko w formie definicji kapitału: „nagromadzona praca”. Wynikające z własności prywatnej rozdwojenie na kapitał i pracę nie jest niczym innym jak tylko odpowiadającym temu stanowi rozdwojenia i wypływającym z niego rozdwojeniem pracy samej w sobie. A kiedy to oddzielenie się dokonało, kapitał dzieli się jeszcze raz na kapitał pierwotny i na zysk, przyrost, który kapitał osiąga w procesie produkcji, chociaż w praktyce natychmiast dodaje się zysk ten do kapitału i razem z nim puszcza się w obieg. Co więcej, nawet sam zysk rozszczepia się znowu na odsetki i właściwy zysk. W odsetkach nonsensowność tych podziałów została doprowadzona do szczytu. Niemoralność wypożyczania pieniędzy na procent, czerpania dochodu bez pracy, za samo udzielanie pożyczek, choć korzeniami tkwi już we własności prywatnej, jest przecież zbyt oczywista i dawno już została zdemaskowana przez prosty instynkt ludu, który w tych sprawach ma zazwyczaj rację. Wszystkie te misterne rozszczepienia i podziały są wynikiem pierwotnego oddzielenia kapitału od pracy i uwięczającego to oddzielenie podziału ludzkości na kapitalistów i robotników, podziału, który pogłębia się z każdym dniem i który, jak zobaczymy, *musi* się pogłębiać. Podział ten, podobnie jak omówione już oddzielenie ziemi od kapitału i pracy, okazuje się jednak w ostatecznym rachunku czymś niemożliwym. Nie można w żadnym razie określić, jaki udział ma w danym produkcie ziemia, kapitał i praca. Te trzy wielkości są niewspółmierne. Ziemia dostarcza surowca, lecz nie bez udziału kapitału i pracy, kapitał wymaga istnienia ziemi i pracy, a praca wymaga istnienia *co najmniej* ziemi, przeważnie również istnienia kapitału. Funkcje tych trzech czynników są zupełnie różne i nie można ich mierzyć jakąś czwartą, wspólną miarą. Jeśli zatem w obecnych warunkach dzieli się dochód między te trzy czynniki, to nie można znaleźć żadnej właściwej im wewnętrznie miary, lecz decyduje tu zupełnie obca im, przypadkowa miara: konkurencja, czyli wyrafinowane prawo silniejszego. Renta gruntowa zakłada istnienie konkurencji, o zysku z kapitału decyduje jedynie konkurencja, a jak się ma sprawa z płacą roboczą, zaraz zobaczymy.

Jeżeli zniesiona zostanie własność prywatna, wszystkie te nienaturalne podziały przestaną istnieć. Rozróżnienie między odsetkami a zyskiem przestanie istnieć; bez pracy bowiem, bez ruchu kapitał jest niczym. Znaczenie zysku zostanie zredukowane do ciężaru, jaki kładzie na szalę kapitał przy określaniu kosztów produkcji, i zysk ten będzie nierozdzielny od kapitału w tym samym stopniu, w jakim sam kapitał powróci do swej pierwotnej jedności z pracą.

* * *

Praca, najważniejszy czynnik produkcji, „źródło bogactwa”, wolna działalność człowieka, źle została potraktowana przez ekonomistę. Jak już przedtem oddzielono od pracy kapitał, tak teraz z kolei rozrywa się pracę po raz drugi; produkt pracy zostaje jej przeciwstawiony w formie płacy, jest on od niej oddzielony i znowu, jak zwykle, określa go konkurencja, gdyż dla określenia udziału pracy w produkcji nie ma, jak już widzieliśmy, stałej miary. Gdy zniesiemy własność prywatną, odpadnie również i ten nienaturalny podział, praca stanie się swoim własnym wynagrodzeniem i wyjdzie na jaw rzeczywiste znaczenie płacy roboczej, poprzednio wyobcowanej: znaczenie pracy dla określenia kosztów produkcji danego przedmiotu.

* * *

Widzieliśmy, że jak długo istnieje własność prywatna, wszystko w końcu sprowadza się do konkurencji. Ona jest główną kategorią ekonomisty, jego najukochańszym dziecięciem, które on ciągle pieści i hołubi – ale zwróćcie uwagę, jakie wyłania się przed nami oblicze meduzowe.

Pierwszym następstwem własności prywatnej było rozszczepienie produkcji na dwie przeciwstawne strony, na stronę naturalną i ludzką; na ziemię, która bez użyczenia jej przez człowieka pozostałaby martwa i bezpłodna, i na działalność ludzką, której pierwszym warunkiem jest właśnie ziemia. Widzieliśmy też, że działalność ludzka rozpadła się z kolei na pracę i kapitał i że strony te znowu stanęły wrogo przeciwko sobie. Mieliśmy więc już wzajemną walkę tych trzech czynników zamiast ich wzajemnego popierania się; należy teraz jeszcze dodać, że własność prywatna powoduje rozszczepienie każdego z tych trzech elementów. Jedna działka gruntu staje naprzeciw drugiej, jeden kapitał – naprzeciw drugiemu, jedna siła robocza – naprzeciw drugiej. Innymi słowy: ponieważ własność prywatna izoluje każdego w jego własnym prymitywnym odosobnieniu i ponieważ interesy każdego są mimo to identyczne z interesami sąsiada, to jeden właściciel ziemi staje wrogo naprzeciw drugiemu, jeden kapitalista – naprzeciw drugiemu, jeden robotnik – naprzeciw drugiemu. W tej wrogości podobnych interesów, wynikającej właśnie z ich podobieństwa, niemoralność dotychczasowego stanu ludzkości doszła do szczytu; a tym szczytem jest konkurencja.

* * *

Przeciwnieństwem *konkurencji* jest *monopol*. Monopol był hasłem bojowym merkantylistów, konkurencja – zawołaniem liberalnych ekonomistów. Nietrudno się przekonać, że i to z kolei przeciwieństwo jest zupełnie pozbawione treści. Każdy uczestniczący w walce konkurencyjnej *musi* dążyć do zdobycia monopolu, czy to będzie robotnik, czy kapitalista, czy też właściciel ziemski. Każda mniejsza grupa uczestniczących w walce konkurencyjnej musi dążyć do zdobycia monopolu przeciw wszystkim innym. Konkurencja polega na interesie, a interes z kolei rodzi monopol; słowem, konkurencja przechodzi w monopol. Z drugiej zaś strony monopol nie jest w stanie zagrozić drogi konkurencji, więcej nawet, on sam rodzi konkurencję, na przykład zakaz importu albo wysokie cła rodzą bezpośrednio konkurencję przemytu. – Sprzeczność tkwiąca w konkurencji jest zupełnie taka sama jak sprzeczność w samej własności prywatnej. W interesie każdego poszczególnego człowieka leży posiadać wszystko, ale w interesie całego społeczeństwa leży to, żeby każdy posiadał tyle samo co inny. Tak więc interes ogólny i interes indywidualny są sobie diametralnie przeciwstawne. Sprzeczność tkwiąca w konkurencji polega na tym, że każdy musi dążyć do monopolu, natomiast społeczeństwo jako całość musi tracić na monopolu – i dlatego musi dążyć do zniesienia go. Co więcej, konkurencja zakłada już istnienie monopolu, mianowicie monopolu własności – i tu znowu wychodzi na jaw obłuda liberalnych ekonomistów – a dopóki istnieje monopol własności, dopóty własność monopolu jest równouprawniona; albowiem także monopol, który już istnieje, jest własnością. Cóż to więc za żalсна połowiczność: występować przeciw istnieniu małych monopolu i godzić się na istnienie podstawowego monopolu. A jeśli jeszcze do tego dodamy wspomniane poprzednio twierdzenie ekonomisty, że to, czego nie można zmonopolizować, nie ma wartości, że zatem to, co nie

nadaje się do tej monopolizacji, nie może uczestniczyć w walce konkurencyjnej – to nasze twierdzenie, iż konkurencja zakłada istnienie monopolu, będzie w pełni udowodnione.

* * *

Prawo konkurencji polega na tym, że popyt i podaż stale się wzajemnie uzupełniają i właśnie dlatego nigdy nie są sobie równe. Te dwa czynniki zostały oderwane od siebie i przekształciły się w dwie strony ostrego przeciwieństwa. Podaż nadąża zawsze tuż za popytem, nie zdarza się jednak nigdy, by była mu dokładnie równa; jest albo za duża, albo za mała, lecz nigdy nie odpowiada dokładnie popytowi, bo w tym stanie ludzkiej nieświadomości nikt nie zna dokładnie wielkości popytu lub podaży. Gdy popyt jest większy niż podaż, cena rośnie, i to stanowi poniekąd bodziec dla podaży; kiedy ta zwiększona podaż pojawia się na rynku, ceny spadają, a gdy podaż staje się większa niż popyt, spadek cen staje się tak znaczny, że to z kolei pobudza popyt. Tak dzieje się ciągle, nigdy nie ma zdrowej równowagi, lecz stale następuje po sobie na przemian pobudzenie i osłabienie, co uniemożliwia wszelki postęp; jest to wieczne wahanie się nie prowadzące nigdy do celu. Prawo to polegające na stałym wyrównywaniu, na tym, że to, co utracono w jednym miejscu, zyskano z kolei w innym, ekonomista uważa za wspaniałe. Jest ono jego największą chlubą, nie może się na nie do syta napatrzeć i rozpatruje je we wszelkich możliwych i niemożliwych okolicznościach. A przecież widać jak na dłoni, że jest to zwykłe prawo przyrody, wynikające z działania żywiołu, nie zaś prawo ducha. Jest to prawo rodzące rewolucję. Ekonomista przedstawia swoją piękną teorię o popycie i podaży, dowodzi wam, że „nigdy nie można wyprodukować za dużo”, a praktyka odpowiada kryzysami handlowymi, które powracają tak regularnie jak komety i które nawiedzają nas teraz przeciętnie co jakieś pięć do siedmiu lat. Od osiemdziesięciu lat te kryzysy handlowe wybuchały tak regularnie jak dawniej zaraza morowa – i powodowały więcej nędzy, więcej demoralizacji niż ona (por. Wade, „History of the Middle and Working Classes”, Londyn 1835, str. 211)³. Te rewolucje handlowe potwierdzają oczywiście owo prawo, potwierdzają je jak najbardziej, inaczej jednak, niż chciałby nam wmówić ekonomista. Co należy sądzić o prawie, które może torować sobie drogę tylko poprzez wybuchające okresowo rewolucje? Jest to właśnie prawo przyrody, polegające na nieświadomym działaniu uczestników walki konkurencyjnej. Gdyby producenci jako tacy wiedzieli, ile potrzeba konsumentom, gdyby produkcję organizowali i dzielili między siebie, to wahania konkurencji i jej skłonność do kryzysów byłyby niemożliwe. Produkcji świadomie, jako ludzie, nie zaś jako rozproszone atomy nie posiadające świadomości gatunku, a wyzwolicie się od tych wszystkich sztucznych i bezpodstawnych przeciwieństw. Dopóki jednak będziecie nadal produkowali tak jak teraz, nieświadomie, bezmyślnie, zdani na kaprysy przypadku, dopóty będą istniały kryzysy handlowe i każdy następny kryzys musi być bardziej powszechny, a zatem ostrzejszy niż poprzedni, musi rujnować coraz większą liczbę drobnych kapitalistów i w rosnącym stosunku pomnażać klasę żyjącą tylko z pracy, a więc musi znacznie powiększać ilość pracy czekającą na zatrudnienie – główny to problem naszych ekonomistów – i wreszcie doprowadzić do takiej rewolucji społecznej, jaka się szkolnej mądrości naszych ekonomistów nawet nie śni.

Wieczne wahania cen, wywołane przez konkurencję, odbierają handlowi ostatnie resztki moralności. Nie ma już mowy o wartości; ten sam system, który zdaje się przywiązywać taką wagę do wartości, który abstrakcji wartości nadaje w formie pieniądza godność oddzielnej egzystencji – ten sam system poprzez konkurencję niszczy wszelką inherentną wartość przedmiotu i co dzień, co godzinę zmienia wzajemny stosunek wartości wszystkich przedmiotów. Czy istnieje w tym wirze możliwość wymiany opartej na moralnych podstawach? W tym ciągłym ruchu do góry i na dół każdy musi szukać najdogodniejszego momentu dla kupna lub sprzedaży, każdy musi stać się spekulantem, tzn. zbierać tam, gdzie nie siał, wzbogacać się kosztem strat poniesionych przez innych ludzi, musi liczyć na nieszczęścia innych albo czekać, aż przypadek zagra na jego korzyść. Spekulant zawsze liczy na nieszczęśliwe wypadki, zwłaszcza na klęski nieurodzaju, wyzyskuje wszystko, jak np. w swoim czasie pożar Nowego Jorku; szczytem zaś

³ John Wade, „History of the Middle and Working Classes”, wydanie trzecie, Londyn 1835. – Red.

niemoralności jest spekulacja papierami wartościowymi na giełdzie; degraduje ona historię, a wraz z nią i ludzkość, do środka, który ma zadowolić chciwość kalkulującego czy też hazardującego się spekulanta. I niechaj uczciwy, „solidny” kupiec nie udaje obłudnie, że stoi ponad tymi machinacjami giełdowymi – dzięki ci Boże itd. Jest on tyleż wart, co spekulujący papierami wartościowymi, spekuluje tak samo jak oni, musi to robić, zmusza go do tego konkurencja, a zatem jego handel jest tak samo niemoralny jak ich interesy. Istotę konkurencji stanowi stosunek zdolności konsumpcyjnej do zdolności produkcyjnej. W ustroju, który będzie godny ludzkości, nie będzie innej konkurencji poza tą właśnie. Społeczeństwo będzie miało za zadanie obliczyć, co może wyprodukować środkami, jakimi rozporządza, i rozpatrując tę zdolność produkcyjną w stosunku do liczby konsumentów zadecyduje, jak dalece należy zwiększyć lub zmniejszyć produkcję, czy można sobie pozwolić na artykuły zbytku czy też należy ich produkcję ograniczyć. Jeśli moi czytelnicy chcą mieć słuszny pogląd na ten stosunek oraz na wzrost zdolności produkcyjnej, jakiego można oczekiwać przy rozumnej organizacji społeczeństwa, powinni zapoznać się z pracami socjalistów angielskich i częściowo również Fouriera.

Konkurencja subiektywna, rywalizacja kapitału z kapitałem, pracy z pracą itd., sprowadzi się w tych warunkach do współzawodnictwa odpowiadającego naturze ludzkiej, które dotąd nieźle wytłumaczył jedynie Fourier – do współzawodnictwa, które po zniesieniu przeciwstawnych interesów będzie się ograniczało do właściwej mu i rozumnej sfery.

* * *

Walka kapitału z kapitałem, pracy z pracą, własności ziemskiej z własnością ziemską wpędza produkcję w stan gorączki, w którym stawia ona na głowie wszystkie stosunki naturalne i rozumne. Żaden kapitał nie może wytrzymać konkurencji drugiego, jeśli nie będzie maksymalnie aktywny. Żadna działka ziemi nie może być uprawiana z zyskiem, jeśli jej wydajność nie będzie się wciąż powiększała. Żaden robotnik nie może wytrzymać konkurencji innych, jeśli nie wpręgnie do pracy wszystkich swoich sił. W ogóle nikt, kto został wciągnięty do walki konkurencyjnej, nie może się w niej utrzymać bez najwyższego nateżenia sił, bez wyrzeczenia się wszystkich celów prawdziwie ludzkich. Następstwem tego nadmiernego nateżenia z jednej strony jest siłą rzeczy osłabienie z drugiej. Gdy wahania konkurencji są nieznaczące, gdy popyt i podaż, konsumpcja i produkcja prawie się wyrównują, to w rozwoju produkcji musi nastąpić stadium, kiedy istnieje taki nadmiar siły produkcyjnej, że szerokie rzesze narodu nie mają z czego żyć; że z powodu nadmiaru ludzie giną z głodu. W tej obłędnej sytuacji, będącej wcieleniem absurdu, znajduje się już od dłuższego czasu Anglia. Jeśli wahania produkcji są znaczne, co jest nieuchronnym następstwem takiej sytuacji, to następują kolejne okresy rozkwitu i kryzysu, nadprodukcji i zastoju. Ekonomista nigdy dotychczas nie potrafił sobie wytłumaczyć tego absurdalnego stanu rzeczy; aby go wyjaśnić, wymyślił teorię ludnościową, która jest tak samo nedorzeczna, ba, bardziej jeszcze nedorzeczna niż sprzeczność współistnienia obok siebie bogactwa i nędzy. Ekonomista *nie wolno* było widzieć prawdy; nie wolno mu było zrozumieć, że ta sprzeczność jest bezpośrednim następstwem konkurencji, bo gdyby to zrozumiał, runąłby cały jego system.

Dla nas sprawa ta jest łatwa do wytłumaczenia. Siły wytwórcze, którymi rozporządza ludzkość, są niezmierzone. Wydajność gleby można podwyższać w nieskończoność przez stosowanie kapitału, pracy i nauki. Według obliczeń najlepszych ekonomistów i statystyków (por. *Alison*, „Principle of Population”, t. I, rozdz. 1 i 2)⁴, „przeludniona” Brytania może za dziesięć lat dojść do tego, że będzie mogła produkować dość zboża dla sześciokrotnie liczniejszej ludności niż obecna. Kapitał powiększa się z każdym dniem, siła robocza rośnie wraz z ludnością, a nauka z każdym dniem coraz bardziej podporządkowuje człowiekowi siły przyrody. Gdyby te nieograniczone siły wytwórcze wykorzystywano świadomie i w interesie wszystkich, praca, którą musi wykonywać ludzkość, spadłaby wkrótce do minimum; w warunkach konkurencji dzieje się to samo, ale w ramach przeciwieństw. Część kraju uprawia się najlepszymi

⁴ *Archibald Alison*, „The Principles of Population, and their Connection with Human Happiness”, t. I, II, Londyn 1840. – *Red.*

metodami, gdy tymczasem inna część – w Wielkiej Brytanii i Irlandii 30 milionów akrów dobrej ziemi – leży odłogiem. Część kapitału znajduje się w nieprawdopodobnie szybkiej cyrkulacji, gdy inna leży martwa w skrzyni. Część robotników pracuje po czternaście i szesnaście godzin na dobę, gdy inni trwają w beczynności, próżnują i przymierają głodem. Albo też te sprzeczności występują nie jednocześnie: dziś handel idzie dobrze, popyt jest bardzo duży, wszędzie wre praca, kapitał obraca się z zadziwiającą szybkością, rolnictwo kwitnie, robotnicy pracują aż do utraty zdrowia – jutro następuje zastój, rolnictwo staje się nieopłacalne, całe polacie ziemi leżą odłogiem, kapitał ogarnięty największym ruchem zastyga nagle, nie ma pracy dla robotników, a cały kraj cierpi z powodu nadmiaru bogactwa i nadmiaru ludności.

Ekonomista nie może takiego rozwoju rzeczy uznać za właściwy; inaczej musiałby, jak już powiedziałem, odrzucić cały swój system konkurencji; musiałby uznać bezsensowność właściwego temu systemowi przeciwieństwa między produkcją a konsumpcją, między nadmiarem ludności a nadmiarem bogactwa. Skoro jednak faktowi temu nie można było zaprzeczyć, wynaleziono teorię ludnościową, aby ustanowić harmonię między faktem a teorią.

Malthus, twórca tej doktryny, twierdzi, że ludność zawsze wywiera nacisk na środki utrzymania, że gdy wzrasta produkcja, ludność pomnaża się w tym samym stosunku, i że właściwa ludności tendencja wzrostu przekraczającego wzrost środków utrzymania będących do dyspozycji jest przyczyną całej nędzy i wszelkiej zbrodni. Jeśli bowiem za dużo jest ludzi, trzeba się ich pozbyć w ten lub inny sposób, albo muszą oni ulec gwałtownej śmierci, albo wyginąć z głodu. Gdy jednak to następuje, powstaje wyrwa, którą natychmiast znowu wypełniają inni rozmnożyciele ludności, i stara bieda zaczyna się od nowa. Ba, tak dzieje się we wszystkich społeczeństwach, nie tylko w społeczeństwie cywilizowanym, lecz również w pierwotnym; dzicy Nowej Holandii⁵, gdzie na milę kwadratową przypada *jeden* człowiek, cierpią tak samo na przeludnienie jak Anglia. Słowem, gdybyśmy chcieli być konsekwentni, musielibyśmy stwierdzić, że *ziemia była przeludniona już wówczas, gdy istniał tylko jeden człowiek*. Wniosek z tego rozumowania jest taki, że ponieważ właśnie ubodzy stanowią nadmiar ludności, nie należy dla nich nic robić, jak tylko maksymalnie ułatwiać im śmierć z głodu, należy ich przekonywać, że nic się nie da zmienić, że dla całej ich klasy jedynym ratunkiem jest jak najbardziej ograniczone rozmnażanie się; jeśli zaś nie da się to przeprowadzić, to trzeba zorganizować państwową instytucję do bezbolesnego zabijania dzieci biedaków, jak to proponował „Marcus”⁶; jego zdaniem na każdą rodzinę robotniczą może przypadać najwyżej dwoje i pół dziecka, a każde następne należy bezboleśnie uśmiercać. Dawanie jałmużny byłoby zbrodnią, gdyż sprzyja przyrostowi zbędnej ludności; bardzo korzystne zaś będzie traktować ubóstwo jako przestępstwo, a domy dla ubogich przekształcać w zakłady karne, co zresztą uczyniono już w Anglii uchwalając nową „liberalną” ustawę o ubogich⁷. Jest, co prawda, faktem, że teoria ta nie bardzo się zgadza z dogmatem biblijnym o doskonałości Boga i jego dzieła, ale „kiepska to argumentacja, gdy cytuje się Biblię przeciw faktom”!

Czy mam jeszcze bardziej szczegółowo rozwijać tę podłą, nikczemną doktrynę, to ohydne bluźnierstwo przeciw przyrodzie i ludzkości, czy mam ukazywać jeszcze dalsze jej konsekwencje? Tu, nareszcie, mamy niemoralność ekonomii politycznej doprowadzoną do najwyższego punktu. Czym są wszystkie wojny i okropności systemu monopolistycznego w porównaniu z tą teorią? I ona właśnie jest tym ostatnim ogniwem liberalnego systemu wolnego handlu, którego runięcie pociągnęłoby za sobą runięcie całego gmachu. Jeśli się bowiem udowodni, że przyczyną nędzy, ubóstwa, zbrodni jest konkurencja, kto wówczas ośmieli się stanąć w jej obronie?

Alison w swojej cytowanej wyżej pracy zachwiał teorią Malthusa, powołując się na siłę produkcyjną ziemi i przeciwstawiając zasadzie Malthusa fakt, że każdy dorosły człowiek może wyprodukować więcej,

⁵ Dawna nazwa Australii. – Red.

⁶ „Marcus” – pod tym pseudonimem ukazało się w Anglii w końcu lat trzydziestych XIX wieku szereg broszur propagujących teorię maltuzjańską. – Red.

⁷ Chodzi tu o nową „Ustawę o ubogich” uchwaloną w Anglii w 1834 roku. Ustawa ta przewidywała tylko jedną formę pomocy ubogim – umieszczanie ich w domach pracy o więziennie-katorżniczym regulaminie. Lud nazywał te domy pracy „bastylami ustawy o ubogich”. – Red.

niż sam zużywa – fakt, bez którego ludzkość nie mogłaby się powiększać, a nawet istnieć; z czego by w przeciwnym razie żyło dorastające pokolenie? Alison jednak nie bada rzeczy do gruntu i dlatego w końcu dochodzi do tego samego wyniku co Malthus. Dowodzi wprawdzie, że zasada Malthusa jest niesłuszna, nie może jednak zaprzeczyć faktom, które Malthusa doprowadziły do jego zasady.

Gdyby Malthus nie patrzył na sprawę tak jednostronnie, byłby dostrzegł, że nadmiar ludności czy siły roboczej jest zawsze związany z nadmiarem bogactwa, nadmiarem kapitału i nadmiarem własności ziemskiej. Nadmiar ludności istnieje tylko tam, gdzie zbyt wielka jest zdolność produkcyjna w ogóle. Dowodzi tego najdobitniej sytuacja każdego kraju przeludnionego, zwłaszcza Anglii, od czasu, kiedy Malthus pisał swą pracę. Takie były fakty, które Malthus powinien był rozpatrywać w ich całokształcie i na podstawie których musiałby dojść do słusznego wniosku; zamiast tego wyrwał on jeden fakt, nie uwzględnił innych i dlatego doszedł do swego obłądnego wniosku. Drugi błąd, który popełnił, polegał na tym, że pomieszał środki utrzymania i zatrudnienia. To, że ludność wywiera stale nacisk na środki zatrudnienia, że rodzi się tyle ludzi, ile może być zatrudnionych, słowem, że wytwarzanie siły roboczej było dotąd regulowane przez prawo konkurencji i dlatego podlegało również okresowym kryzysom i wahaniom – to jest fakt, którego stwierdzenie jest zasługą Malthusa. Ale środki zatrudnienia to nie to samo, co środki utrzymania. Przez wzrost siły mechanicznej i kapitału wzrastają środki zatrudnienia tylko w ostatecznym rachunku; natomiast środki utrzymania wzrastają, skoro tylko w ogóle wzrastają w jakimś stopniu siły wytwórcze. Tu wychodzi na jaw nowa sprzeczność ekonomii politycznej. Popyt, jak go pojmuje ekonomista, nie jest rzeczywistym popytem, konsumpcja, jak on ją pojmuje, jest konsumpcją sztuczną. Dla ekonomisty rzeczywistym reprezentantem popytu, rzeczywistym konsumentem jest tylko ten, kto może dać ekwiwalent za to, co otrzymuje. Jeśli jednak faktem jest, że każdy dorosły produkuje więcej, niż może sam spożyć, że dzieci są jak drzewa, które z nawiązką zwracają łożone na nie wydatki – a to wszystko chyba są fakty? – to należałoby mniemać, że każdy robotnik powinien by mieć możliwość wytwarzania znacznie więcej, niż potrzebuje, a zatem społeczeństwo powinno by go ochoczo zaopatrywać we wszystko, co mu jest potrzebne; należałoby mniemać, że duża rodzina powinna by być dla społeczeństwa podarunkiem nader pożądanym. Ekonomista jednak, tkwiąc w prymitywnych poglądach, nie zna innego ekwiwalentu prócz tego, który się płaci namacalną gotówką. Ekonomista tak mocno tkwi w swoich sprzecznościach, że najbardziej oczywiste fakty obchodzą go równie mało, co najbardziej naukowe zasady.

Zlikwidujemy sprzeczność po prostu w ten sposób, że ją zniesiemy. Wraz ze stopieniem się w jedno przeciwstawnych obecnie interesów zniknie sprzeczność między nadmiarem ludności na jednym biegunie a nadmiarem bogactwa na drugim, zniknie ten dziwny fakt, dziwniejszy niż wszystkie cuda wszystkich religii razem wzięte, że właśnie z powodu bogactwa i nadmiaru obfitości naród musi przymierać głodem; zniknie obłądne twierdzenie, że ziemia nie jest zdolna wyżywić ludzi. To twierdzenie jest najwyższym wykwittem ekonomii chrześcijańskiej, a to, że nasza ekonomia polityczna jest w istocie chrześcijańska, mógłbym udowodnić na dowolnym jej twierdzeniu, na dowolnej jej kategorii, i w swoim czasie to uczynię; teoria Malthusa jest tylko ekonomicznym wyrazem religijnego dogmatu o sprzeczności między duchem a przyrodą i – co z niej wynika – zepsuciu ducha i przyrody. Gdy chodzi o religię, wykazano już dawno, że sprzeczność ta – a wraz z nią i religia – jest fikcyjna; mam nadzieję, że udowodniłem bezpodstawność tej sprzeczności również w dziedzinie ekonomicznej; żadnej zresztą obrony teorii Malthusa nie uznaję za kompetentną, jeżeli nie wyjaśni mi ona na podstawie własnych założeń tej teorii, jak naród może ginąć z głodu właśnie wskutek nadmiaru, i nie wykaże, że stan ten jest zgodny z rozsądkiem i faktami.

Teoria Malthusa była zresztą niewątpliwie koniecznym momentem przejściowym, dzięki któremu zrobiliśmy ogromny postęp. Dzięki niej, jak w ogóle dzięki ekonomii, zwróciliśmy uwagę na siły wytwórcze ziemi i ludzkości, a gdy przezwyciężymy tę teorię rozpaczy ekonomicznej, uwolnimy się raz na zawsze od strachu przed przeludnieniem. Teoria Malthusa dostarcza nam najmocniejszych argumentów ekonomicznych przemawiających na rzecz przebudowy społecznej; gdyby bowiem Malthus miał nawet absolutnie rację, to trzeba by z miejsca podjąć dzieło tej przebudowy, gdyż tylko ona, tylko podniesienie poziomu mas, dokonane dzięki tej przebudowie, umożliwi owo moralne ograniczenie pędu do rozmnażania się, które sam Malthus uważa za najbardziej skuteczny i najłatwiejszy środek przeciw

przeludnieniu. Dzięki tej teorii poznaliśmy najgłębsze poniżenie ludzkości, jej zależność od konkurencji; teoria ta pokazała nam, jak w ostatecznym rachunku własność prywatna przekształciła człowieka w towar, którego produkcja i niszczenie także zależy tylko od popytu; jak wskutek tego system konkurencji zabijał i codziennie zabija miliony ludzi; wszystko to uświadomiliśmy sobie i wszystko to wzywa nas, byśmy znieśli to poniżenie człowieka, znosząc własność prywatną, konkurencję i przeciwstawność interesów.

Rozpatrzmy jednak jeszcze raz stosunek siły produkcyjnej do liczby ludności, by pokazać, jak bezpodstawny jest panujący powszechnie strach przed przeludnieniem. Malthus robi obliczenie, na którym opiera cały swój system. Twierdzi on, że ludność wzrasta w postępie geometrycznym: 1 + 2 + 4 + 8 + 16 + 32 itd., podczas gdy siła produkcyjna gleby w postępie arytmetycznym: 1+2 + 3 + 4 + 5 + 6 itd. Różnica rzuca się w oczy, jest zastraszająca; ale czy jest tak naprawdę? Gdzie jest dowód, że wydajność gleby wzrasta w postępie arytmetycznym? Obszar ziemi nadającej się do uprawy jest ograniczony, zgoda. Jednakże siła robocza, którą można zastosować do uprawy tej ziemi, rośnie wraz z ludnością; przypuśćmy nawet, że wzrost urodzajów osiągany przez wzrost nakładu pracy nie zawsze jest proporcjonalny do nakładu pracy; ale pozostaje przecież jeszcze czynnik trzeci, na który ekonomista oczywiście nie zwraca żadnej uwagi – nauka, a postęp nauki jest równie bezgraniczny i co najmniej równie szybki jak wzrost ludności. Jakież postępy zawdzięcza rolnictwo naszego wieku choćby tylko chemii, a nawet dwóm tylko uczonym – Sir Humphrey Davy'emu i Justusowi Liebigowi? A nauka idzie naprzód co najmniej tak szybko, jak rośnie ludność; ludność pomnaża się proporcjonalnie do liczebności ostatniego pokolenia; postępy nauki są proporcjonalne do sumy wiedzy pozostawionej przez poprzednie pokolenie, a zatem, w najzwyczajszych warunkach, rośnie ona także w postępie geometrycznym – a cóż jest niemożliwe dla nauki? Ale śmieszna jest rzeczą mówić o przeludnieniu, dopóki „dolina Missisipi ma dość nieuprawionej ziemi, by można było przenieść tam całą ludność Europy”⁸, dopóki w ogóle można uważać, że uprawia się zaledwie trzecią część ziemi, a plody tej trzeciej części można by, stosując choćby znane już obecnie metody ulepszeń, podwyższyć sześciokrotnie i jeszcze więcej.

* * *

Konkurencja przeciwstawia więc kapitał – kapitałowi, pracę – pracy, własność ziemską – własności ziemskiej, i z kolei każdy z tych czynników – pozostałym dwóm. W walce zwycięża silniejszy, i chcąc przewidzieć wynik tej walki, będziemy musieli zbadać siły walczących. Przede wszystkim własność ziemska i kapitał – każde z oddzielna – są silniejsze od pracy, bo robotnik musi pracować, aby żyć, gdy tymczasem właściciel ziemski może żyć ze swojej renty, a kapitalista z odsetek, w najgorszym zaś razie jeden ze swego kapitału, a drugi ze skapitalizowanej własności ziemskiej. W rezultacie robotnikowi przypada w udziale tylko to, co najniezbędniejsze, tylko najkonieczniejsze środki utrzymania, a przeważająca część produktów ulega podziałowi między kapitał i własność ziemską. Poza tym silniejszy robotnik wypiera z rynku słabszego, większy kapitał – mniejszy, większa własność ziemska – drobną. Praktyka potwierdza ten wniosek. Wiadomo, jaką przewagę ma większy fabrykant czy kupiec nad drobnym, większy właściciel ziemski nad właścicielem jednej morgi. W następstwie tego już nawet w normalnych warunkach wielki kapitał i wielka własność ziemska pochłaniają, zgodnie z prawem silniejszego, drobną kapitał i drobną własność ziemską i następuje centralizacja własności. W okresach kryzysów handlowych czy rolnych centralizacja ta dokonuje się jeszcze znacznie szybciej. – Wielka własność powiększa się w ogóle znacznie szybciej niż drobna, gdyż wydatki posiadacza pochłaniają tu znacznie mniejszą część dochodu. Ta centralizacja własności jest tak samo immanentnym prawem własności prywatnej jak wszystkie inne prawa; klasy średnie muszą coraz bardziej zanikać, aż świat będzie podzielony na milionerów i pauprów, na wielkich właścicieli ziemskich i biednych wyrobników rolnych. Żadne ustawy, żadne podziały wielkiej własności ziemskiej, żadne ewentualne podziały kapitału nic tu nie

⁸ Archibald Aliston, „The Principles of Population...”, t. I, Londyn 1840, str. 548. – Red.

pomogą – ten rezultat musi nastąpić i nastąpi, jeśli nie wyprzedzi go całkowite przekształcenie stosunków społecznych, stopienie się w jedno przeciwstawnych interesów, zniesienie własności prywatnej.

Wolna konkurencja, główne hasło ekonomistów naszych dni, jest czymś niemożliwym. Monopol zamierzał przynajmniej – choć nie mógł tego zamiaru urzeczywistnić – chronić konsumenta przed oszustwem. Natomiast likwidacja monopolu otwiera na oścież bramy przed oszustwem. Powiadacie, że w samej konkurencji zawarte są środki przeciwdziałające oszustwu, że nikt nie będzie kupował złych rzeczy; to jednak oznacza, że każdy musiałby być znawcą każdego artykułu, co jest niemożliwe – i stąd niezbędność monopolu, jak tego dowodzi wiele artykułów. Apteki itd. *muszą* mieć monopol. A najważniejszy artykuł, pieniądz, właśnie najbardziej wymaga monopolu. Za każdym razem, skoro tylko środek obiegowy przestawał być monopolem państwowym, wywoływał on kryzys handlowy, toteż ekonomiści angielscy, m. in. dr Wade, przyznają, że monopol jest tu niezbędny. Monopol jednak również nie chroni przed fałszywymi pieniędzmi. Z jakiegokolwiek strony będziemy rozpatrywać zagadnienie, jedna nastęrcza tyleż trudności co i druga. Monopol rodzi wolną konkurencję, a ta z kolei rodzi monopol; dlatego też musi upaść monopol i konkurencja, i owe trudności należy usunąć przez zniesienie zasady, która je rodzi.

* * *

Konkurencja przeniknęła wszystkie nasze stosunki życiowe i doprowadziła do szczytu wzajemną niewolę, w której obecnie znajdują się ludzie. Konkurencja jest owym potężnym bodźcem, który wciąż na nowo pobudza do działania nasz starzejący się i niedołężniejący ład – a raczej bezład – społeczny, ale też przy każdym nowym wysiłku zużywa zarazem część słabnących sił. Konkurencja rządzi liczbowym przyrostem ludzkości, rządzi również jej moralnym rozwojem. Kto zna choćby pobieżnie statystykę przestępczości, temu musiała rzucić się w oczy szczególna regularność, z jaką z roku na rok wzrasta przestępczość, z jaką określone przyczyny rodzą określone przestępstwa. Szerzenie się systemu fabrycznego wywołuje wszędzie wzrost przestępstw. Można co roku określić z góry liczbę aresztowań, spraw kryminalnych, a nawet liczbę morderstw, włamań, kradzieży itd. w jakimkolwiek dużym mieście lub okręgu – z dokładnością, która się w każdym wypadku sprawdza – jak to zresztą dość często czyniono w Anglii. Owa regularność jest dowodem, że przestępczością również rządzi konkurencja, że społeczeństwo stwarza *popyt* na przestępstwa, a ten popyt zaspokajają odpowiednia *podaż*; że wyrwę powstałą wskutek aresztowań, deportacji lub stracenia pewnej liczby ludzi natychmiast zapełniają inni, tak jak w ogóle każdą wyrwę w społeczeństwie zapełniają natychmiast nowi przybysze; innymi słowy, że przestępstwo tak samo wywiera nacisk na środki penitencjarne, jak narody – na środki zatrudnienia. Jak sprawiedliwe jest w tych warunkach karanie przestępców – pomijając już wszystkie inne względy – pozostawiam opinii czytelników. Tu chodzi mi tylko o to, by dowieść, że konkurencja rozciąga się również na dziedzinę moralności, i pokazać, do jak głębokiej degradacji doprowadziła człowieka własność prywatna.

* * *

W walce kapitału i własności ziemskiej przeciw pracy oba te czynniki mają jeszcze pewną szczególną przewagę nad pracą – pomoc nauki; naukę bowiem w obecnych warunkach również wykorzystuje się przeciwko pracy. Przyczyną prawie wszystkich wynalazków np. w dziedzinie mechaniki był brak siły roboczej; dotyczy to zwłaszcza maszyn Hargreavesa, Cromptona i Arkwrighta, używanych w przędzalnictwie bawełnianym. Nigdy nie było wzmożonego popytu na pracę, który by nie wywołał zarazem jakiegoś wynalazku podnoszącego poważnie zdolność produkcyjną siły roboczej, a zatem pomniejszającego popyt na pracę ludzką. Historia Anglii od 1770 r. aż do naszych czasów jest tego ciągłym dowodem. Ostatni wielki wynalazek w przędzalnictwie bawełnianym, „selfacting mule”, był spowodowany wyłącznie przez popyt na pracę i wzrost płac – podwoił on wydajność pracy maszyn i zredukował w ten sposób o połowę pracę ręczną, pozbawił pracy połowę robotników i w ten sposób obniżył do połowy płace

pozostałych; udaremnił on sprzysiężenie robotników przeciw fabrykantom i zniszczył ostatnie resztki sił, które jeszcze umożliwiały pracy wytrzymanie nierównej walki z kapitałem (por. *dr Ure*, „Philosophy of Manufactures”, t. 2)⁹. Ekonomista powiada wprawdzie, że w ostatecznym rachunku maszyny są korzystne dla robotników, ponieważ czynią produkcję tańszą i dzięki temu tworzą nowy, większy rynek dla ich produktów, tak że w końcu znowu dają one zatrudnienie robotnikom, którzy stracili pracę. Zupełnie słusznie; ale czy ekonomista zapomina, że wytwarzanie siły roboczej reguluje konkurencja, że siła robocza stale wywiera nacisk na środki zatrudnienia, że zatem w czasie, kiedy te korzyści miałyby nastąpić, znowu będzie na nie czekała nadmierna liczba ubiegających się o pracę i w ten sposób korzyść ta stanie się iluzoryczna, gdy natomiast skutek ujemny, nagła utrata środków utrzymania przez jedną połowę robotników, a obniżenie płac drugiej połowy, nie jest iluzoryczny? Czy ekonomista zapomina, że rozwój wynalazczości nigdy nie ustaje, że więc ten ujemny skutek się utrwała? Czy zapomina on, że przy podziale pracy, który dzięki naszej cywilizacji rośnie tak bezmiernie, robotnik może żyć tylko wtedy, kiedy może pracować przy pewnej określonej maszynie, wykonując pewną określoną cząstkową operację? Że przejście od jednego zajęcia do drugiego, nowego, jest prawie zawsze dla dorosłego robotnika wręcz niemożliwe?

Mówiąc o następstwach produkcji maszynowej, poruszam już inny, bardziej odległy temat – system fabryczny; na zajęcie się nim w tym miejscu nie mam ani ochoty, ani czasu. Mam zresztą nadzieję, że wkrótce będę miał okazję szczegółowo przedstawić ohydny niemoralność tego systemu, i wówczas zdemaskuję całkowicie obłudę ekonomisty, która tu występuje w pełnym blasku¹⁰.

⁹ *Andrew Ure*, „The Philosophy of Manufactures”, Londyn 1835. – *Red.*

¹⁰ Engels ma na myśli zamierzoną przez siebie pracę na temat społecznej historii Anglii, do której zbierał materiał w czasie swego pobytu w tym kraju (listopad 1842 – sierpień 1844). W pracy tej zamierzał on poświęcić specjalny rozdział położeniu robotników angielskich. Później jednak Engels zmienił swój plan i postanowił poświęcić proletariatowi angielskiemu specjalną książkę, którą też napisał po powrocie do Niemiec. Książka ta, „*Położenie klasy robotniczej w Anglii*”, ukazała się w Lipsku w 1845 roku. – *Red.*